

Joanna Nawlicka

Uniwersytet Zielonogórski
studentka

Agnieszka Sobiak

„Gazeta Lubuska”

DZISIAJ BAL, JUTRO POSTANOWIENIA (FELIETON)



Każdy z nas kiedyś sobie coś postanowił. Już za dzieciaka snuliśmy dalekosiężne plany dotyczące naszej kariery, wykształcenia czy stylu życia. Kto z nas nie chciał zostać policjantem, strażakiem, aktorem czy śpiewakiem? Takich osobników o wyjątkowych marzeniach pewnie można policzyć na palcach dwóch rąk. W większości jednak chcieliśmy tego samego, a więc wszystkiego, co najlepsze. Niektórzy – sławy, inni – szczęśliwej rodziny. Ktoś jeszcze wymarzył sobie dom nad jeziorem, a kolejny – wycieczki dookoła świata.

Gdy zakończył się okres bardziej lub mniej wesołego dzieciństwa, trzeba było obrać jakąś ścieżkę życiową. Właśnie wtedy życie po raz pierwszy zaśmiało się niektórym prosto w twarz. Okazało się, że bycie księżniczką czy księciem nie jest prawdziwą pracą, że tylko nieliczni zostają miliarderami, że trudno dostać się do szkoły aktorskiej, a śpiewać możemy głównie pod prysznicem, gdy zagłusza nas leżąca się woda. Oczywiście nie chcę generalizować. Zdaję sobie sprawę, że niektórzy mieli więcej szczęścia niż ja i rzeczywiście zrealizowali wszystkie swoje plany. Z pewnością kilka moich koleżanek zostało tancerkami, modelkami, terazniejszymi influencerkami. Zerkam czasem na ich instagramowe profile, nieraz pozostawię po tej wizycie ślad w postaci like'a pod zdjęciem. Koledzy spełniają się na studiach informatycznych. Dalsi znajomi rozpoczęli już dawno pracę marzeń, a ja... Nawet nie wiem, o czym dokładnie marzę.

Będąc małą dziewczynką, miałam wiele pasji. Chciałam jeździć konno, choć tylko raz udało mi się wsiąść na kucyka na jakimś festynie. Chciałam zostać piosenkarką, miałam discmana z tysiącami piosenek i kiedyś nagrałam teledysk do jednej z nich. Oczywiście ze mną w roli głównej, a przy okazji załapali się sąsiedzi, spacerujący z psem po drugiej stronie chodnika. Chciałam być tancerką, chodziłam na zajęcia, wtedy mówiło się po prostu „tańce”, a w trzeciej klasie podstawówki pojechałam na

obóz, na którym tańczyliśmy codziennie. Jeszcze wcześniej chciałam być akrobatką i rodzice zapisali mnie na akrobatykę. Było fajnie, ale koleżanka zrezygnowała, więc ja zrobiłam to samo. W międzyczasie trenowałam karate, jednak okazało się, że to nie dla mnie. Zdemotywowałam się po którychś tam zawodach, na których nic nie wygrałam.

W gimnazjum (tak, jeszcze wtedy istniało!) odkryłam w sobie pasję do fotografii. Ciągnęła się ze mną długo, a może ja ją ciągnęłam, żeby nie musieć zastanawiać się, co wpisać w rubryczce „hobby”. Założyłam profile na Facebooku i Instagramie, wykonałam parę sesji zdjęciowych. Nie ze wszystkich jestem zadowolona, ale praca z ludźmi, możliwość ich poznania i obserwowania, jak zachowują się za obiektywem, była w niezwykle sposób kojąca. Później zafascynowała mnie koszykówka. Cudowny sport, cudowne emocje. Nie opuściłam ani jednego meczu przez dobrych kilka lat, czułam się niemal tak, jakbym zapuściła korzenie w zielonogórskiej hali. Pasja przerodziła się w pracę i sprawiało mi to coraz mniej przyjemności, więc znowu chodzę na trybuny tylko jako zwyczajny kibic. Zapomniałam jeszcze wspomnieć, że przez chwilę sama myślałam o występach na pełnowymiarowym boisku koszykarskim, jednak poza umiejętnościami zabrakło mi sporo wzrostu.

Przy wyborze szkoły średniej odstawiłam na bok marzenia i wybrałam praktyczny zawód. Zdobyłam tytuł technika informatyka, ale brakowało mi pisania. Podjęłam się prowadzenia gazetki szkolnej, w połowie zapełnionej moimi tekstami, jednak to nie było to. Ucząc się na własnych błędach, złożyłam dokumenty na studia na kierunek, o którym wcześniej tylko śniłam. Dziennikarstwo i komunikacja społeczna wypowiadam z dumą, choć wiele osób krzywi się w sztucznym uśmiechu, gdy to moja odpowiedź na pytanie, co studiuję. A więc jednak spełniłam jedno z moich marzeń.

Jeśliby się nad tym dłużej zastanowić, to spełniłam ich nawet więcej. W ciągu swojego zaledwie 22-letniego życia odwiedziłam bardzo ciekawe miejsca, zobaczyłam Camp Nou, leciałam samolotem, zdałam na prawo jazdy, miałam pierwszą pracę, a nawet jestem współautorką książki, która została wydana! Jednak mimo wszystko dalej gonię za kolejnymi rzeczami i często zapominam o tych ważnych momentach. Gdy zaczęłam pisać ten tekst, wierzyłam, że nie mam żadnych marzeń, że nic specjalnego jeszcze nie zrobiłam. Czasami potrzebujemy czasu, aby przypomnieć sobie o dobrych chwilach. Czasami potrzebujemy czasu, aby te dobre chwile stworzyć. Ale..., bo jak wiemy, zawsze jest jakieś „ale”.

Nic na siłę. Nie oczekujemy zmian z dnia na dzień, nie skaczymy od razu na głęboką wodę. W końcu Ameryki nie odkryto od razu, prawda? Codziennie przeglądamy tysiące obrazków na naszych mediach społecznościowych, widzimy znajomych i nieznajomych, którzy realizują własne cele, a my w tym czasie scrollujemy z paczką chipsów w ręce. Oglądamy filmiki z siłowni i przysięgamy sami sobie, że to od jutra będziemy także

my. Dostajemy maile o zniżkach w tym naszym ulubionym sklepie odzieżowym i obie-cujemy sobie, że kupimy tę bluzkę czy spodnie przy najbliższej okazji. Przyda się do biegania albo po bieganiu, jak już będziemy najlepszymi wersjami siebie. Wyczołgujemy się spod kołdry i wyrzucamy niezdrowe przekąski prosto do śmietnika, nie oglądając się za siebie. Wykopujemy z szafki butelkę wielorazową, może nawet gnamy do sklepu, żeby jednak mieć co zjeść na śniadanie. Oczywiście coś zdrowego, beztłuszczowego, nieprzetworzonego, bez cukru, bez glutenu, bez... smaku. Tylko żartowałam, przecież zdrowe jedzenie też jest pyszne! Bierzymy ostatniego gryza batonika oblanego podwój-ną czekoladą i go też wyrzucamy. Od jutra będzie lepiej. Od jutra zaczniemy ćwiczyć, biegać, pływać, pocić się na siłowni. Od jutra tylko zdrowa dieta. Od jutra wczesne pobudki i minimum osiem godzin snu. Od jutra mniej czasu przed komputerem czy telefonem. Od jutra więcej książek. Od jutra.

Ale przecież jeszcze jest dzisiaj. Kawalek czekolady wte lub wewte nie zrobi już różnicy, tak samo jak godzina przed telefonem z ulubionym serialem. Lepsze życie zaczniemy jutro, więc dzisiaj nie musimy się o nic martwić.

Problem pojawia się wtedy, gdy jutro rzeczywiście nadchodzi. Okazuje się, że strój kąpielowy jest za ciasny albo w ogóle nie możemy go znaleźć. Legginsy nagle mają dziurę na udzie, więc wstyd w czymś takim biegać. Budzik nie zadzwonił, kołdra przy-gniotła. Kogut zapał zdecydowanie za szybko. Kielki na kanapce z zielonym pesto były przepyszne, ale już 10 minut później myślimy, co by tu przekąsić słodkiego. Siłownia jest za daleko, karnet za drogi. Przychodzi powiadomienie o nowym odcinku serialu, a trwa przecież tylko 30 minut. Nie zaszkodzi obejrzeć, jest sobota. Mamy cały dzień na zmienianie siebie.

Gorzej, gdy to postanowienia noworoczne. Wtedy sprawa jest bardziej skompliko-wana, ponieważ zazwyczaj większość z nas ma co do siebie jakieś plany. Karnet na siłkę został zakupiony z wyprzedzeniem, bo koleżanka namówiła. Przyszedł też zamówiony strój polecany przez influuncerkę z YouTube'a i buty, które pokazały się w reklamie pomiędzy serialami w telewizji. Robimy zdjęcia, aby wszystkim relacjonować nasze postępy. Nawet w pracy czy na uczelni widzą, że zrzuciliśmy parę kilogramów. Efekt WOW osiągnięty, ale co dalej?

REZYGNUJEMY. Dlaczego? Sama nie wiem. Chodziłam na siłownię i czułam się fantastycznie. Skończyłam z fast foodami, chipsami i innymi słodkościami. Waga pokazywała coraz mniejszą liczbę, ubrania kupowałam w coraz mniejszym rozmiarze. Byłam lekka, rześka, wesoła. Zabrakło motywacji i wróciły stare nawyki. Teraz ciągle powtarzam sobie od jutra. Jednak jutro nie mam czasu. Mam studia, mam pracę i inne obowiązki. Trzeba coś napisać, coś wysłać, nauczyć się na kolokwium czy odrobić lekcje. Wyjść do kina, pójść na lody. Włączyć serial, bo przecież zasłużyłam na odpoczynku. Potrzebuję chwili dla siebie, a nie wygibasów na siłowni.

„Dzisiaj bal, jutro żal” mówi jedno z polskich przysłów. Trochę je zmieniłam... „Dzisiaj bal, jutro postanowienia”. Prawda, że brzmi trochę lepiej? Mimo wszystko wierzę, że w końcu nadejdzie jutro, które okaże się dla mnie łaskawe. Jutro, w którym nie będę musiała sobie nic obiecywać, bo po prostu już wtedy będę najlepszą wersją siebie. Może to mnie koleżanki będą zazdrościć, oglądając moje zdjęcia na Instagramie? Z tymi postanowieniami jest tak, jak z marzeniami. Tylko małe kroki doprowadzą nas do celu. A jeśli nawet w międzyczasie zabłądzimy i kupimy pączka z czekoladą... Co z tego? Czujmy się dobrze we własnym ciele i cieszymy się z tego, co sprawia nam radość.

* * *

A gdyby tak przyjąć, że poszukując nieustannie swojego sposobu na życie, de facto szukamy spełnienia w określonej roli, narzuconej nam w danej chwili przez społeczność, w której żyjemy? Że próbujemy wielu rzeczy tylko po to, żeby wpasować się w istniejące już schematy? A, że często wbrew sobie...

To nieustanne poszukiwanie wpisane jest w naturę człowieka. To istota jestestwa, która często przekłada się na całe życie. Nie tylko natury zwane niepokornymi czują wieczny pęd ku zmianie, która ostatecznie nasyci ich niezaspokojone pragnienia. Zazwyczaj motorem naszego działania są potrzeby wyższego rzędu. To właśnie poszukiwanie: szacunku, uznania, samorealizacji czy też przynależności determinuje większość naszych reakcji. I sprawia jednocześnie, że tu i teraz staje się z czasem przewidywalne i mało atrakcyjne.

Może i tak jest właśnie z nami, że ciągle nam mało, ciągle nie ten kierunek i w efekcie zamiast poczucia szczęścia czujemy rozczarowanie i niedosyt? Tym większe, im większe nadzieje wiązaliśmy z nowym, życiowym projektem i im poważniejsze obietnice składaliśmy samym sobie w związku z wyznaczeniem nowego celu...

Gdyby tak wyzwanie zmienić w marzenie? Od razu zmienia się waga przedsięwzięcia, którym się aktualnie zajmujemy. Zamieniając obietnice na nadzieję spełnienia, automatycznie zrzucamy z ramion fikcyjny ciężar odpowiedzialności. Nie musimy nikomu niczego udowadniać. Przed nikim się spowiadać. Ot kolejny etap, fanaberia, błahostka, próba. Li i jedynie. I nic więcej. Żadnych rozliczeń, podsumowań i moralnego kaca, że się nie wytrzymało.

Wewnętrzny przymus zniewala, nie każdemu jest dana umiejętność odpuszczania. A warto się tego nauczyć, żeby nie wpaść w wir niepotrzebnych nikomu czynności, oddalających nas od celu, którym powinno być samo spełnienie pragnień. Bez nastawiania się na wynik, cieszyć się samą czynnością, którą w danej chwili wykonujemy. Wyłączając kontrolę poszczególnych etapów, smakować po trosze i z namaszczeniem terażniejszość. Zaakceptujmy swoją niedoskonałość, czyniąc z niej drogę do finału.

Zostawmy sobie miejsce i pozwolenie na błędy. Mierzmy siły na zamiary, a zamiary na możliwości. Zostawmy gdzieś na później perfekcję, dla której w marzeniach nie może być miejsca. Pozwólmy sobie na bycie zachłannym na życie, próbując jego wszystkie smaki. Powoli i bez planu, porządku i ścisłych wytycznych. Bo tylko w ten sposób odkryjemy wszystkie odcienie człowieczeństwa i poznamy nasze prawdziwe przeznaczenie.